

Rok VIII. Bytom G.-Szl., 15-go Stycznia 1894. **Nr. 2.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KSIĄŻĘ I ŻEBRAK.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Oczy młodego księciem gniewem zabłysły, gdy zawołał:

— Jakto, bije ciebie?

— O tak, bije — z przeproszeniem Waszej Wysokości.

— Bije ciebie! A tyś przecie taki mały, taki słaby! Słuchaj: nim noc zapadnie, zamkniętą zostanie w Towerze. Król, mój ojciec...

— Książę zapomina, z jak niskiego jesteśmy stanu. Tower przeznaczony tylko dla możnych.

— Masz słuszność. Nie pomyślałem o tem. Ale wymyślę dla niej stósowną karę. A ojciec dobrym jest dla ciebie?

— Nie jest on łagodniejszym niż babka.

— Hm, zdaje się, że ojcowie bywają do siebie podobni. Mój także nie jest bardzo łagodny. Ręka jego ciężko uderza; mnie wprawdzie dotąd oszczędzał co do razów, ale łajaniem nieraz dokuczył. A jakąż jest matka twoja?

— Matka jest bardzo dobra. Nikomu bólu nie zada, ani zmartwienia nie zrobi, Betty i Nana podobne są do niej.

— W jakim wieku są obie?

— Piętnaście lat skończyły, Panie.

— Lady Elżbieta, moja siostra, ma lat czternaście. Cioteczna zaś moja siostra, lady Joanna Grey jest w moim wieku; jest przytem ładna i miła. Ale najstarsza moja siostra, lady Mary, ponurą ma twarz. Słuchaj, chłopcze: czy twoje siostry zabraniają także swoim służącym śmiać się?

— Moje siostry, książe? Przecież one sług żadnych nie mają.

Książe spojrzał poważnie na żebraka. potem rzekł:

— A któż im pomaga wieczorem rozebrać się, kto z rana wkłada im ich suknie?

— Nikt. Czyż książę myśli, że one zrzucają suknie?

— Czy, mają tylko po jednej sukni?

— Mości książe, a na cóżby im więcej?

— Szczególne, prawdziwie zadziwiające pytanie. Przebacz, ja się w istocie śmiać nie chciałem. Nana i Betty będą odtąd miały dostateczną ilość sukien

i służących. Mój podskarbi postara się o to. Nie, nie dziękuj mi za taką drobnostkę. Ale ty się dobrze wyrażasz i wiesz jak się trzeba zachowywać. Musiałeś się uczyć?

— Pewien dobry nauczyciel, którego ludzie nazywają ojcem Andrzejem, uczył mię trochę z łaski.

— Rozumiesz po łacinie?

— Obawiam się, Panie, że bardzo mało.

— Ucz się przyjacielu, tylko początek jest trudny. Grecka mowa o wiele trudniejsza od łacińskiej, a żebyś słyszał, jak moja siostra Elżbieta i lady Joanna wybornie nią władają! Prawda, że im każdy język jest łatwy. Opowiedz mi co jeszcze o Offal-court. Czy wam tam wesoło?

— Dosyć, książę, jeźli głód bardzo nie dokucza, Czasem można tam obaczyć widowisko, w którem występują lalki i małpy; małpy bardzo zadziwiające! Ślicznie są ubrane, a biją się nieraz z sobą, podczas widowiska, aż się zabijają. Można za grosz się przypatrywać, ale niestety, książę, rzadko się ma ten grosz.

— Mów dalej.

— Czasem urządzamy sobie potyczkę, jak żołnierze, ale na kije.

— Zdaje mi się, że i mnieby to bawiło. Opowiadaj mi dalej.

— Biegamy, Panie, na wyścigi, aby się przekonać, kto ma nogi najszybsze.

— To mi się także podoba.

— W lecie pływamy w rzece i po kanałach, a każdy zanurza swego sąsiada głębiej, lub wodą nań pryska; dajemy nurka i z wesołym krzykiem wydobywamy się znowu na powierzchnię.

— Połowę królestwa mego ojca dałbym za to, żebym raz mógł wziąść w tem udział! Proszę, opowiadaj dalej.

— Śpiewamy i dokazujemy w Cheapside pod drzewami, bawimy i grzebiemy się w piasku. Czasem, po ulewnym deszczu, wybornie jest tarzać się w błocie... z przeproszeniem waszej książęcej mości!

— Proszę cię, milcz. To w istocie pyszne. Gdybym mógł mieć twoją odzież i bosemi nogami uwijać po błocie i żeby nikt mi tego nie ganił, ani nie bronił... jeden, jedyny raz! Zdaje mi się, żebym za to mógł oddać koronę!

— A ja, książę, gdybym się tylko raz mógł tak ubrać jak was, panie, widzę.

— Doprawdy? Chciałbyś? Dobrze więc, niech tak będzie. Złóż twoje łachmany, a weź moją bogatą szatę. Zapewne szczęście twoje będzie krótkie, ale tem przyjemniejsze. Pozwolimy to sobie, jak długo będziemy mogli.

W kilku chwilach mały książe Walii był już malowniczo przyodziany w strzępy Toma, a żebrak błyszczał świetnem ubraniem królewicza. Przystąpili wtedy do wysokiego zwierciadła i nie mało się zadziwili, spostrzegłszy, iż tak są do siebie podobni, że zamiany, jaką zrobili, nikt nie mógłby poznać. Spoglądali na siebie, to znowu w zwierciadło. Wreszcie książę, jakby zmięszany tym widokiem zapytał:

— No, cóż mówisz na to?

— Uwolnij mię, książę, od odpowiedzi. Nie wypada, aby taki jak ja mógł to wyrzec.

— To ja powiem. Masz tak podobne do moich włosy i oczy, głos i postawę, twarz i ruchy, że można jednego z nas wziąść za drugiego. Teraz kiedy twoje mam suknie, uczuwam mocniej i dokładniej, co ty uczuć musiałeś, kiedy ten prosty żołdak... Pokaż, masz sińce na ręku?

— Mam, ale nie warto o tem wspominać, a książę wiesz, że ten żołnierz...

— Milcz, on był srogi i zły! — zawołał gniewnie młody książę, bosą nogą tupiąc o posadzkę. Gdyby król to wiedział...; nie wychodź ztąd, dokąd nie wrócę, — rozkazuję ci.

Szybko odsunął książę od najbliższego stołu przedmiot jeden, ważny dla całej Anglii. — Tom Kanty patrzał nań przytem uważnie, — Edward pobiegł, okryty łachmanami, z błyszczącym okiem, pałającemi policzkami, przez korytarze pałacu do głównego wyjścia. Doszedł-

szy tam chwycił za kratę, wstrząsnął nią i zawołał:

— Otwieraj mi bramę!

Żołnierz, który potrącił pierwej Toma, usłuchał zaraz, ale gdy książę, u którego gniew już na pół przeminął, przechodził bramę, żołnierz silnem uderzeniem odrzucił go na gościniec, wołając szyderczo:

— Oto masz, hultaju, podziękowanie za naganę, którą przez ciebie dostałem od księcia pana.

Patrzący roześmiali się głośno. Książę wstał, przystąpił do straży i zawołał:

— Jestem książe Walii, moja osoba jest święta. Ośmieliłeś się rękę na mnie podnieść, będziesz za to powieszony.

Żołnierz szyderczo się rozśmiał i rzekł:

— Kłaniam się waszej wysokości. — Ale zaraz dodał gniewnie: — Idź mi precz, szalony obszarpańcze!

Z krzykiem otoczyli teraz przechodnie biednego małego księcia. Potrącano go po gościńcu, wołając ze złośliwym uśmiechem:

— Miejsca dla jego książęcej mości! Zróbcie miejsce miłościwemu księciu Walii!

Ciężkie próby księcia.

Przeszło godzinę tłum gonił i udręczał biednego, małego Edwarda; wreszcie rozproszył się i zostawił go w spokoju.

Jak długo, pełen gniewu, z królewską godnością groził pospólstwu, odpowiadano mu głośnym śmiechem, znajdywano chłopca bardzo zabawnym; gdy zmęczony i znękany umilkł, prześladowcy zaczęli sobie szukać innej rozrywki lub zatrudnienia.

Badawczo spojrzał książę w około siebie: wszystko, co go otaczało, wydało mu się obce; nie wiedział, że znajdował się jeszcze w londyńskiej City. Co począć? Poszedł trochę dalej; powoli przyszedł między domy daleko od siebie stojące i droga stała się samotniejsza. Przy źródle wytryskującem z ziemi, umył sobie biedny książę pokrwawione nogi, potem poszedł dalej i dostał się na obszerny, pusty plac, na którym było kilka rozrzuconych domów, a po jednej stronie wznosił się duży kościół. Ten budynek poznał zaraz. Był on otoczony rusztowaniem i setki robotników pracowały nad jego zewnętrznem odnowieniem.

Teraz Edward uspokoił się i uczuł bezpiecznym.

— To kościół Szarych Braci, — rzekł sam do siebie — król, mój ojciec, odebrał go mnichom i pod imieniem: »Christ-Church« utworzył przy nim schronienie dla biednych, opuszczonych dzieci. Z pewnością chętnie tam dopomogą synowi króla, któremu każdy z nich winien wdzięczność; zwłaszcza gdy ten syn królewski jest biedniejszy i więcej opuszczony niż ktokolwiek z tych, którym dom ten dał lub da schronienie.

Wkrótce wpadł w rój cały chłopców różnego wieku, którzy hałaśliwie się bawili w piłkę, wyścigi i t. p. ćwiczenia. Mieli na sobie płaskie czarne czapeczki, za małe, aby dobrze okryły głowę, i obcisłą granatową odzież, długą poniżej kolan, z szerokimi rękawami. Szerokie czerwone pasy, jasno-żółte pończochy i trzewiki z wielkiemi sprzączkami uzupełniały to ubranie, uderzająco brzydkie.

Szybko przerwali chłopcy swoją grę i otoczyli Edwarda, który rzekł wyniośle:

— Dobrzy chłopcy, powiedźcie waszemu przełożonemu, że Edward, książę Walii, chce z nim mówić.

Słuchacze parsknęli śmiechem. Jeden z nich zapytał:

— Jakto, ty żebraku, byłbyś posłańcem jego książęcej mości?

Gorącym rumieńcem spłonęły policzki księcia, ręką szybko za bok się chwycił — ale nie znalazł tu żadnej broni. Głośniej jeszcze roześmiano się wokoło, a jeden z chłopców zawołał:

— Czy uważaliście, on sobie wyobraża, że ma miecz. Może on sam jest księciem?

Śmiechy się podwoiły. Edward wyprostował się dumnie i rzekł:

— Jestem księciem, a wy, którzy żyjecie z łaski króla, mego ojca, nie powinnibyście tak ze mną się obchodzić.

Znowu śmiechy się rozległy, a ten chłopak, który pierwszy poprzednio się odezwał, rzekł szydząc do towarzyszy:

— Wy, niewolnicy nędzni, którzy żyjecie z łaski królewskiego ojca jego książęcej mości, czyż tak mało wiecie, jak powinniście postąpić? Na kolana; okażcie jego książęcej postawie i majestatycznym łachmanom powinną cześć!

Na pośmiewisko i wyszydzenie swej ofiary uklękli wokoło. Książę nie posiadając się z gniewu — kopnął nogą najbliższego i rzekł:

— Weź to tymczasem, nim jutro szubienicę dla ciebie wznieść każę!

Teraz już nie było żartu — za daleko rzecz się posunęła. Na twarzach chłopców oburzenie zastąpiło poprzednią wesołość.

— Wypędźcie go! Rzucić, gdzie konie pławią! Gdzie są psy? Poszczuć go niemi! — zawołało kilkanaście głosów.

Nastąpiło widowisko, jakiego Anglia dotąd nie widziała; osoba następcy tronu uchodziła przed plebejskimi kułakami, a co gorzej przed psami!

Gdy noc nakoniec zapadła, biedny Edward znalazł się znowu w gęsto zabudowanej części City. Ręce i nogi miał pokrwawione, ciało podrapane i sińcami okryte, łachmany stwardniały od błota. Nie wiedząc, jak sobie radzić, szedł dalej i dalej, wreszcie tak osłabł, że już nóg prawie podnosić nie mógł. Już o nic nie pytał przechodzących; zamiast spodziewanej pomocy i objaśnień, pytania te ściągały mu tylko zniewagi.

Ciągle powtarzał sobie teraz po cichu:

— Offal-Court, tak on nazwał ulicę. Jeśli się tam dostanę, nim, wyczerpawszy siły, upadnę, to będę uratowany. Toma rodzice przecież poznają, że nim nie jestem; w każdym razie odprowadzą mnie do zamku i tam powiedzą, że jestem księciem. Powrócę więc znowu do moich praw.

Czasem wracały jego myśli do Christ-Church, gdzie tak źle się z nim chłopcy obeszli.

— Gdy zostanę królem — myślał — postaram się, aby tych chłopców nie tylko żywiono i ubierano, ale i uczono należycie. Na co im się przyda pełny żołądek, przy próżni serca i umysłu? Nigdy nie zapomnę smutnych nauk, jakie dziś odbieram, i skorzystam z nich kiedyś dla dobra i pożytku moich poddanych. Dobre wychowanie uszlachetnia serca, napełnia je łagodnością i miłością bliźnich.

Tu i owdzie błysnęły światełka, wiatr się podniósł, zimny deszcz kropił, wszystko zapowiadało noc groźną. Biedny książę, tułaczy następca korony angielskiej, posuwał się dalej i dalej, coraz więcej się zagłębiając w ciasne uliczki, zamieszkane przez ubóstwo i nędzę. Nagle wysoki, wpół pijany hultaj schwycił go za kołnierz i zawołał:

— Tak późno włóczysz się jeszcze po ulicy i zapewne ani grosza nie przyniosłeś dziś do domu! Jeźli tak, to połamię ci kości, jest to tak pewna, jak to że się nazywam John Kanty.

Prędko wysunął się książę z jego ujęcia i machinalnie otarł miejsce, gdzie się go tamten dotknął.

— To wy jesteście jego ojcem? — zapytał. — Dałby Bóg, aby tak było, bo poszlibyście po niego, a mnie odprowadzili.

— Jego ojcem? Nie rozumiem tego, ale wiem, że jestem twoim ojcem, jak ci to zaraz przypomnę...

— O proszę was, nie żartujcie, nie ociągajcie się. Jestem osłabły, pokaleczony, nie zdolny już znieść więcej. Zaprowadźcie mnie do króla, mego ojca, który was nagrodzi, tak hojnie, jak nie moglibyście sobie tego wyobrazić w najśmielszych marzeniach. Wierzajcie mi, dobry człowieku, wierzajcie mi; nie kłamię, mówię najszczerszą prawdę. Podajcie mi dłoń pomocną — jestem księciem Walii.

W milczeniu wpatrywał się ten człowiek w chłopca, potem pokiwał głową i zamruczał:

— Tak ci się mózg przewrócił jak waryatom!

Znowu chwycił księcia za kołnierz i z grubiańskim śmiechem i przekleństwem zawołał:



DOBRA MATKA.

— Czyś waryat, czy nie waryat — ja i Gammer Kanty znajdziemy sposób, żebyś uczuł, jeśli nie zrozumiesz, na coś zasłużył.

Pociągnął nieszczęśliwego Edwarda, który na próżno usiłował się bronić rozpaczliwie w ciemny dziedziniec, gdzie cały rój różnych biedaków szedł za nimi krzycząc.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ptaszki nasze w zimie.

Ptaszki nasze, co z nami przetrwały ostrą zimę, miały w pierwszych dniach wiosny pracy i trudów bez miary, aby uporządkować jako tako swoje sprawy osiedlenia, utrzymać się w posiadaniu swoich gniazd i stanowisk wobec natarczywości obcych przybyszów i bronić tych praw, które sobie zdobyły podczas długiej pory zimowej, znosząc tysiączne krzywdy, niedostatek i mrozy. Ale czas ten twardej i ciężkiej pracy prędko poszedł w zapomnienie, równie jak i niejeden wesoły, dzielny i pracowity towarzysz, którego zima zabiła mrozem i pogrzebała w śniegach i lodach. Zaczęło się radosne życie wiosenne. Głosiła je pstrząca się kwieciem ziemia, rozigrany strumyk i ciepłe słońce, opiewali przybyli z dalekich podróży zimowych śpiewacy, a cały ten nasz świegotliwy ludek skrzydlaty, co wierny nam zawsze, nawet w najtęższe zimy nie opuszcza naszych zagród, pól, łąk i lasów, wszystkie sikorki, trzynadle, dzięcioły, kosy i wołowe oczka i jak się one jeszcze nazywają — przyczyniały się z całego gardła, ile sił stało, do tej powszechnej a wesołej wrzawy wiosennej. Ale obok tego miały one jeszcze inne, o wiele ważniejsze czynności do spełnienia. Znały one bowiem każdy zakątek rodzinnej okolicy lepiej od wszystkich tych wędrowców, co zimę w obcych przemieszkali stronach, wiedziały o każdem zagrożonem miejscu w ogrodach i lasach, o każdem chorem drzewie, o każdej gromadce larw motylich, gdzie od jesieni leżała ukryta, gdzie prządki schowały swoje jaja — musiały więc po wszystkich drzewach i krzakach łazić, zaglądać w każde dziupło, w każde pęknięcie kory, szukać i kuć od świtu do zmroku, aby wszystko do czysta wyskrobać, wydłubać, wydziobać.

A potem wylęgły się młode w gnieździe. Wtedy należało się starać o dzieci, znosić dla nich pożywienie, zbierać owady, robaczki i gąsienice aż do lata, pokąd nie dojrzały owoce, i aż do jesieni, kiedy pierwsze zżółkłe i poczerwieniałe liście poplamiły wiosenną szatę drzew, a po dolinach poczęły się już rankami i wieczorami kłębić chłodne mgły.

Z początku było i wtedy jeszcze dziwnie pięknie. Słońce wschodziło z poza lasu wielkie, czerwone i złociste, a źdźbła trawy połyskiwały brylancikami szronu i perłami rosy porannej. Przechód ten do zimy przecudny przedstawiał widok. Stół był obficie zastawiony: ziarnka jałowcu i grona jarzębiny wisiały na gałęziach, ligustr okrywał się czarnemi jagodami, nasienie ostu było dojrzałe, tu i owdzie biegał jeszcze o południu po zżółkłej łące lub po pustem ściernisku jakiś pajączek lub chrząszczyk, a na wilgotnej i miękkiej ziemi można było jeszcze z pomyślnym skutkiem wyprawiać łowy i wydobyć z niej niejedną brunatną dzdżownicę, niejednego dobrze utuczonego pędraka.

Ale powoli nadeszły inne dnie. Szare, ciemne chmury zawisły nad dolinami. Przygoniła je burza, która szumiała w krzewach, trzęsła konarami starych buków, a młode drzewka przyginała do ziemi. Wszystko ogarnęło lękliwe drżenie, i zeschłe źdźbła trawy na ziemi i zeschłe liście na gałęziach. Wszystko uchodziło i kryło się, obcy śpiewacy

do południowych krajów, domowi do lasu, drobne zwierzęta w ziemię. Wszystko uciekało, nawet żółte i czerwone liście pędziły z wiatrami, obrywając się z gałęzi, aż wreszcie cały las ogołocił się i opustoszał i już ani jedna gałązka, ani jedna korona nie przypominała minionej wspaniałości wiosennej. — A potem przyszedł śnieg. Z początku prószył małemi, delikatnemi gwiazdkami, później sypał coraz większemi płatkami, z wolna, cicho, ale coraz więcej i więcej, coraz gęściejszy i cięższy. Okrył naprzód ziemię, łąki i niedawno zorane skiby, potem zawisł na krzakach i ubielił czarne i brunatne jagody, które wczoraj jeszcze połyskiwały w świetle dziennem, potem ułożył się warstwami na konarach drzew, otulił wszystkie korony i gałęzie i zasypał małe, opuszczone gniazdko wiosenne, które tam w górze wisiało. Wśród gęstej zawiei śnieżnej wyleciało o świcie stado ptasząt z lasu na otwarte pola, aby zobaczyć, coby tam można począć. Przeszukały one ostrożnie zwyczajne miejsca śniadań, płot od sadu ostatniego obejścia we wsi, starą jabłoń z jej korą guzowatą i popękaną i moczarzysty brzeg potoku. Sikorki, wołowe oczka i dzięcioły ujrzały się wspólną wszystkie razem przyciśnięte biedą! Pierwsze furknęły śpiesznie na drzewa i przebiegały z gałęzi na gałąź, z dołu na górę i znowu z najwyższych wierzchołków na pnie i wszędzie szukały, grzebały, kuły, dziobały, ale śnieg padał na nie i zasypywał każde odkryte miejsce, zagrzebywał napowrót każdy kawałeczek kory, które małe sikorki były odgrzebały. Wołowe oczka buszowały tymczasem po płotach, a dzięcioły okrążały pnie, biegając coraz szybciej tam i napowrót, aż wreszcie przekonały się, że ziemia i kora zamarzła, wygładziła się i stwardniała, i że dzisiaj całodziennych ich trudów nie wynagrodzi żadna zdobycz.

Odleciały więc wszystkie, każde w swoję stronę, zrazu jeszcze dosyć wesołe i żwawe, nawołując się i wabiąc, jakoby chciały sobie dodać odwagi, wzbudzić nadzieję i ufność.

Wieczorem przycichły. Słońce zaszło niewidziane, a śnieg wciąż sypał w wielkich, gęstych płatkach. Wszyscy mali latawcy byli znużeni, śmiertelnie znużeni i poszli szukać sobie kryjówek. Jeden wsunął się w ciasny zakącik pod kilku omszonemi gałęziami, drugi skrył się w dziuple starego, wypróchniałego drzewa, inni przytulili się w stojącym kędyś na krawędziu lasu krzaku, który gęsty śnieg przysklepił. Siedzieli tam wszyscy w kupce, jeden przy drugim, odąwszy piórka i pochowawszy główki, a głód ściskał im próżne żołądki. O zmroku słychać było jeszcze tylko dzięcioła, jak kuł i pukał kędyś w lesie, i wrzaskliwe wrony, wykrakujące niecierpliwie wieczorne godzinki. Potem wszystko ucichło i mała gromadka usnęła głodna i drżąca od zimna. Ale śnieg pada i pada ciągle, od godziny do godziny, od wieczora do północy, od północy do poranka i jeszcze przez cały dzień następny i przez całą noc, a kiedy nakoniec przestał sypać, to było już wszystko zasypane i zagrzebane i łąki i krzaki i owoce, wszystko było stracone dla biednych ptaszków.

Całemi stadkami puścili się więc na wędrówkę od wsi do wsi, od domu do domu, ci zziębnięci i zgłodniali żebracy, wygnani z rodzinnego gniazda, pozbawieni pracy i zarobku. Jakiż z tego dla nich pożytek, że przez całą wiosnę i lato pomagali nam tak pilnie w ogrodzie, w polu i w lesie? Cóż z tego przyjdzie drobnej sikorce, że w ciągu roku zebrała z drzew i krzaków do 400.000 owadów? Cóż jej z tego przyjdzie, że ocaliła miliony owoców, kwiatów i liści? Pomimo tego wszystkiego jest teraz przecież opuszczoną żebraczką, wydaną na pastwę głodowi i zimie.

Z początku idzie podróż szybko. Strach pędzi tych biedaków przez góry i doliny, z jednej łąki na drugą, od jednego potoku do drugiego. Zatrzymują się przed każdą stodołą, spadają na każdą kupę gnoju, ale wszędzie leży śnieg, często wysoko nawiany, i wszędzie jednakowa czeka ich nędza. Przez kilka dni utrzymuje się ta wędrowna

drużyna w pełnej liczbie, ale później poczyna już co wieczora i co rana brakować to jednego, to drugiego towarzysza. Rozmaici rabusie czatują bowiem na uciśnionych: jastrząb dopatruje ich łatwo na śnieżnym całunie ziemi, łasica i kuna podkradają się do nich na ich zimnych noclegach, mróz i burza ścigają ich, znużenie i zwątpienie ubezwładnia ich skrzydełka. To tu, to tam przyzostaje któraś ptaszyna pod krzakiem, przycupnie na kamieniu przy drodze, zburzy piórka, zresztą zawsze takie gładkie i spogląda cicho i smutno za odlatującymi przyjaciołmi. Śnieg zasypuje ją, wiatr nawiewa białe płatki na skostniałe jej ciałko i po niewielu godzinach leży ona już pogrzebana głęboko i zapomniana, jak kilka godzin przed tem zginął któryś inny towarzysz, co jeszcze wczoraj z całem stadem latał.

Tak gubi sroga zima cztery piąte, a często nawet dziewięć dziesiątych części naszych najmilszych, najczynniejszych, najgorliwszych pomocników w polu, w lesie i w ogrodzie. Nikt nie spyta się o nich, nikt nie widzi ich niedoli, nikt nie ulituje



GNIEZNO.

KOŚCIÓŁ ŚW. JANA. KOŚCIÓŁ ŚW. WAWRZYŃCA.

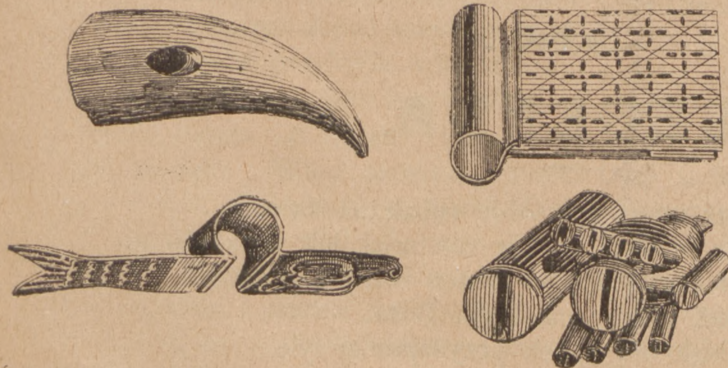
się ich nędzy i te ptaszki nasze, co przez lato od świtu do zmroku radośnym świegotem i śpiewem ożywiały całą przyrodę, rozweselając nas i pomagając nam w pracy — giną cicho, bez pomocy, padając ofiarą ciężkiej doli swojej.

Nie jest w naszej mocy odwrócić od nich całkiem ten smutny los, ale możemy go o wiele złagodzić, możemy tej skrzydlatej drużynie znaczną przynieść ulgę, możemy niejednemu z jej grona ułatwić utrzymanie życia, aż pokąd odwilż nie stopi śniegu i pokąd z topniejącym śniegiem nie rozpłyną się i cierpienia zimowe, jak straszne sny o wschodzie słońca. Wszakże można bez wielkiej pracy i zachodu z jakiegoś odkrytego miejsca w ogrodzie, w polu lub na kraju lasu zgarnąć jako tako śnieg, można na to miejsce nasypać trochę ziarn, narzucać różnych odpadków z kuchni, okrawków ziemniaków, niepotrzebnego mięsa, starej tłustości, okruszyn z chleba; można bez uszczerbku dla siebie położyć tam coś z owoców, nadpsute jabłko przekrojone na połowę, stłuczony orzech. Miejsce to można w części przysłonić ciernistemi gałęziami tarniny, lub jakim innym chróstem, aby uczęstowane tak przez nas ptaszęta ochronić od przelatujących ptaków drapieżnych i innych prześladowców. Przed naszemi oknami możemy urządzić małe zakłady dobroczynności — kawałek deszczułki, na niej trochę ptasich łakoci, garsteczka ziarn i okruszyn, a jeżeli już bardzo hojnymi być chcemy, rozdarta figa — oto wszystko czego potrzeba, aby uratować od głodowej śmierci seciny tych skrzydlatych istot. A jakież one będą nam wdzięczne za tę jałmużnę, choć to nie jałmużna, lecz tylko spłata małego procentu od ich wiosennego i letniego zarobku. Spróbujmy tak zrobić, a będziemy się cieszyli całą zimę widokiem zlatujących się regularnie codziennie głodnych gości na biesiadę pod nasze okna, będziemy się cieszyli ich radością i szczęściem. Minie zima, zazielenią się drzewa, zakwitną kwiaty, a nasi zimowi stołownicy nie zapomną o nas i całe ich roje dziękować nam będą za pomoc w potrzebie, świegocąc i śpiewając wesoło pod naszemi oknami.

GWIZDANIE.

Na zapytanie: do czego mogą służyć brzmienia nazywane gwizdaniem, odbierzemy rozmaite odpowiedzi, stósownie do kogo zapytanie było zwrócone. Mechanik będzie się unosił nad doniosłością gwizdania, jako sygnału; myśliwy za pomocą gwizdania porozumiewa się z psem; dla zazdrosnego o sławę aktora służy ono jako wyborny środek do pognębienia rywala, a są i tacy, którzy naśladowanie dźwięków ptasich pragnęli podnieść do wysokości »sztuki« i wygwizdują walce, polki, krakowiaki.

Gwizdanie więc można zastósować w życiu praktycznem najrozmaiciej: jako zabawkę, jako środek pożyteczny lub pomoc w występku. Rzezimieszkowie używają gwizdania do porozumiewania się; posiadają oni osobliwej konstrukcyi świstawki, których podobizny obok załączamy.



Świstawka z kła odyńca. — Świstawki rzezimieszków. — Świstawki gołębie.

Gwizdanie zastępuje ludziom mowę; dane co do tego, znajdujemy w opisie żeglarza normandzkiego, Jana do Bethencourt, z 15-go wieku, którą potwierdzili inni podróżnicy wiarogodni.

Opis opiewa, że mieszkańcy wysp Kanaryjskich, potomkowie krajowców pierwotnych, posługują się »mową gwizdaną«. Niegdyś jeden z ich wodzów został przez poddanych zdradzony, wódz, za karę, wszystkim rokoszanom rozkazał poodrzynać języki; od tego czasu na wyspach Kanaryjskich zamiast mówić — gwiżdżą. Dr. Bordier utrzymuje, że nie tylko Kanaryjczycy ale wszyscy praszczurowie nasi pierwotnie porozumiewali się za pomocą gwizdania, używając do tego specyalnych, chociaż prostych instrumentów: kości zwierząt. Przedziurawiona szczęka renifera i kieł dzika, które dr. Bordier odnalazł jako wykopaliska epok bardzo odległych, mają służyć za dowód jego twierdzenia. Inni uczeni twierdzą, że Kanaryjczycy, będąc ciemiężeni przez najezdnicze rzesze Hiszpanów, z konieczności wymyślili sposób porozumiewania się dla nich tylko dostępny. Bądź co bądź — »mowa gwiżdżąca« przyjęła się u nich i dotrwała do naszych czasów.

Biegłość Kanaryjczyków w posługiwaniu się gwizdaniem ma cechy wielkiej wprawy; do czynności tej służą im palce lub język. Rozmawiając przy pomocy jednej ręki: kładą palec mały do ust, zginają go, cztery inne kurczą w pięść, pozostawiając wielki wyprostowanym, otwór pomiędzy zębami (wytworzony przez palce) zatykają językiem; albo wkładają pomiędzy zęby palec wskazujący; albo przyciskają końcem palca wskazującego koniec języka; wreszcie kładą do ust palec drugi i czwarty, przyciskają niemi język w ten sposób, żeby się w jamie ustnej zetknęły. Rozmawiając przy pomocy obu rąk, używają palców małych, kładąc je równocześnie do ust, tak żeby tworzyły kąt prosty, lub też kładąc w ten sam sposób palec drugi i trzeci. Jeżeli do gwizdania ma być użyty tylko język, zginają go a raczej zwijają, tworząc rodzaj lejka, który końcem dotyka zębów górnej szczęki. We wszystkich wypadkach w jamie ustnej zęby, palce, podniebienie, język tworzą mniejsze lub większe szpary, przez które przeciska się powietrze; mniejszy lub większy jego nacisk wywołuje odpowiednie brzmienia.

Chińczycy gwizdanie do innego użytku zastósowali: są oni wielkimi miłośnikami gołębi, ale także rozmiłowani są w nieporządku. Nawet mieszkańcy stolicy nie troszczą się o warunki zdrowotne: pomyje i tym podobne odpadki wprost na ulice wyrzucają. Źle byłoby z synami państwa chińskiego, epidemie wyludniłyby ich miasta i wsie, gdyby nie ptaki drapieżne, które odpadki pożerają; ale drapieżniki są nieprzyjaciołmi gołębi — trzeba zatem było przed niemi zabezpieczyć faworytów. Sposób znaleziono: gołębiom przyczepiają do ogonów, tuż przy tułowiu, świstawki z bambusu, bardzo lekkie. Podczas lotu powietrze wciska się do otworów świstawek i zastępuje płuca flecisty. Odgłos gwizdania przeraża drapieżników: żaden z nich nie śmie zaczepić gołębia, który gra... na ogonie.

LEGENDA.

Kiedyś, dawno już temu, żył sobie rybak na świecie
Stary i biedny, biedny!... Nic nie miał, jak wątłe siecie
I czółno... Mieszkał sam jeden w chatce lichej u morza...
Często cierpiałby głód, gdyby nie łaska Boża:
Codzień w sieci znalazło się rybek przynajmniej tyle,
Że miał co jeść, a w niedzielę mógł odpocząć chwilę...

Niegdyś ojcem on był, lecz siódmy już prawie rok minął,
Jak mu jedyny syn gdzieś na morzu bez wieści zginął.
Raz więc staruszek ten cały tydzień nie był na brzegu,
Bo też, od kiedy żył, nie pamiętał wiatru takiego —
Wył dzień i noc... A tu i ryby nie stało i chleba...
Nie jadł już drugi dzień... Nareszcie Pan Bóg spojrzał z nieba
Na morze... Ucichł wiatr i piękna wróciła pogoda...
Rybak na brzeg... do czółna... przepadło! uniosła woda!...
Biedny jak ściana zbladł i w rozpaczy załamał ręce...
Teraz już pewny głód i śmierć po długiej, strasznej męce.
Więc jęknął: »Otóż Bóg wszystkiego mnie w życiu pozbawił,
Syna, chleba i sił... Starość tylko i śmierć zostawił.«
Mówiąc to, wziął kamyczek — i sam nie wiedząc, co robi,
Uderzył go i rozbił — aż patrzy: siedzi tam sobie
Muszka drobna jak mak... Wtem zjawia się mu anioł w bieli
I słyszy cudny głos, jak śpiew najpiękniejszy w kościele:
»Jeżeli Bóg nie zapomni muszki drobnej w kamyczku,
Gdzie jej nie dojdzie nic, nawet słońce w jasnym promyczku,
To nie zapomni On i o tobie... ufajże Jemu,
Módl się i wierz!« I zniknął... Polały się łzy biednemu,
Westchnął, pobożnie kląkł, gorąco pomodlił się Bogu...
Skończył... do domu czas... zbliża się... patrzy... syn w progu!

MATKA.

Siedziała matka przy kolebce dziecięcia. Siedziała smutna, och! bardzo smutna, bo serce jej drży z trwogi o życie jedynaka. Dziecina tak blada, oczka miała zawarte, oddychała cicho, ale czasem tak z głębi piersi, że oddech do westchnienia był podobniejszy. Strapiona matka jeszcze smutniej spoglądała na swoje biedniątko.

Wtem do drzwi zakołatano. Weszła jakaś uboga, stara kobieta, w grubą derę końską zawinięta. Na dworze bowiem srożyła się straszna zima; wszystko ścięła lodem i śniegiem przykryła, a wiatr przejmujący dął, jakby nożem twarz krajał.

Stara drżała od zimna. Dziecię na chwilę usnęło. Więc powstała matka i przystawiła do ognia garnuszek z piwem, aby przybyła miała się czem ogrzać i posilić. Stara usiadła i dziecię kołysała. Usiadła i matka tuż przy niej i wpatrywała się w chorą dziecinę, za rączki ją ująwszy.

— Nieprawdaż, i wy myślicie, że go nie stracę? — rzekła matka. — Bóg dobry nie zabierze mi mojego dziecięcia!

Stara pokiwała głową, ale tak jakoś dziwnie, że trudno było właściwej domyśleć się odpowiedzi. Matka spuściła oczy; łzy potoczyły się po twarzy. Głowa jej bardzo ciężyła; biedna matka już trzy noce i trzy dni oka nie zmrużyła. Zdrzymała się ze znużenia, ale tylko na minutkę. Wnet się ocknęła i od zimna zadrżała.

— Co to jest! — zawołała, rzucając okiem na wszystkie strony. Starej nie było i dziecięcia nie było; widocznie stara zabrała je ze sobą. A tam w kącie u starego zegara, który skrzypiał bezustannie, ciężka waga ołowiana spadła właśnie z łoskotem na podłogę i zegar stanął.

Przerażona matka wybiegła z chaty i wołała za dzieckiem swojem.

Na dworze, wśród śniegu, siedziała

niewiasta w długiej, czarnej szacie. Usłyszała ona to rozpaczliwe wołanie i rzekła do matki:

— Śmierć była w twej chacie; widziałam ją spiesznie uchodzącą z dzieckiem twojem. Pędzi ona prędzej niż wiatr, a nigdy nie zwraca, co zabrała!

— Powiedz mi tylko, w którą udała się stronę! — zawołała matka. — Wskaż tylko drogę, a już i Śmierć dogonię!

— Drogę znam — odrzekła czarna niewiasta. — Ale nim ci ją wskażę, zaśpiewasz mi wszystkie pieśni, które śpiewałaś dziecku swojemu. Lubię te pieśni i słyszałam je nieraz. Jestem Noc. Widziałam łzy, które śpiewając wylewałaś.

— Zaśpiewam ci wszystkie, co do jednej! — rzekła matka; — ale zlituj się, nie zatrzymuj mnie; muszę Śmierć dogonić i odebrać dziecię swoje!

Noc milczała. Więc załamała ręce matka nieszczęśliwa i wśród rzewnego płaczu śpiewać zaczęła. Było tam wiele tych pieśni serdecznych, matczynych, ale łez jeszcze więcej. Nasłuchawszy się do woli, rzekła Noc:

— Idź w prawo, w ciemny bór sosnowy; tam pogoniła Śmierć z dzieckiem twojem.

Pogoniła też i matka. W głębi boru rozstajna droga. Znów więc nie wiedzieć, w którą puścić się stronę. Tuż przy rozdrożu stał krzak tarniny bez liści i kwiatu; za to uginał się pod ciężarem śniegu i sople wisiały z gałęzi, zwyczajnie jak to bywa w zimie.

— Czy nie widziałaś Śmierci, unoszącej dziecię małe? — spyta matka tarniny.

— Widziałam, — odpowie zapytana; ale drogi nie wskażę, dopóki mnie nie ogrzejesz u piersi swojej. Patrz! ginę tu z zimna; w lód się zamieniam!

Chwyciła więc krzak biedna matka i co sił do łona przyciskała. Ciernie wbijały się w ciało i krew wielkiemi spływała kroplami. Ale tarnina niebawem liść świeży puściła i zakwitła wśród mroźnej nocy zimowej. Tyle to i takie ciepło u łona matki strapionej!

Tarnina wskazała drogę. Spieszy więc i spieszy biedna matka i niebawem nad wielkiem staje jeziorem. Nigdzie nie widać ni statku, ni łodzi. Jezioro nie było całkiem zamarzłe, aby je przebyć po lodzie, a i w bród niepodobna puszczać się na tak wielki i głęboki wód przestwór. A przecież trzeba było dostać się na brzeg drugi, aby Śmierć dogonić. Rzuciła się więc matka na brzeg; zdawało się, że zdoła wypić wody jeziora. Ale to praca próżna, praca nad siły człowieka. Nie zważała na to matka stroskana; myślała sobie, że może cud jaki się stanie.

— Ależ temu nie podołasz! — zawołało jezioro. — Raczej ugodź się ze mną. Lubię zbierać perły; a oczy twoje to para pereł najczystszych, jakie mi kiedykolwiek widzieć się zdarzyło. Wypłacz je w wody moje, a przeprawię cię do wielkiej cieplarni, w której Śmierć hoduje kwiaty i drzewa. Każde z nich to życie ludzkie.

— O czegobym nie oddała, byle się dostać do dziecka mojego! — rzecze matka zapłakana i jeszcze rzewniejszemi zalała się łzami. A wśród płaczu tego oczy jej wypłynęły i jako drogie perły wpadły na dno jeziora. Wnet wzdęły się wody i fala pochwyciła matkę i jakby na huśtawce w ruch wprawionej na brzeg przeciwny przeniosła. Tam stał gmach dziwny, na wiele mil długi. Trudno było wiedzieć, czy to była góra z jaskiniami, lasami pokryta, czy też budynek umyślnie wystawiony. Biedna matka nie mogła go widzieć, bo już patrzeć na świat nie mogła.

— Gdzież tu Śmierć znajdę, co mi dziecię zabrała?

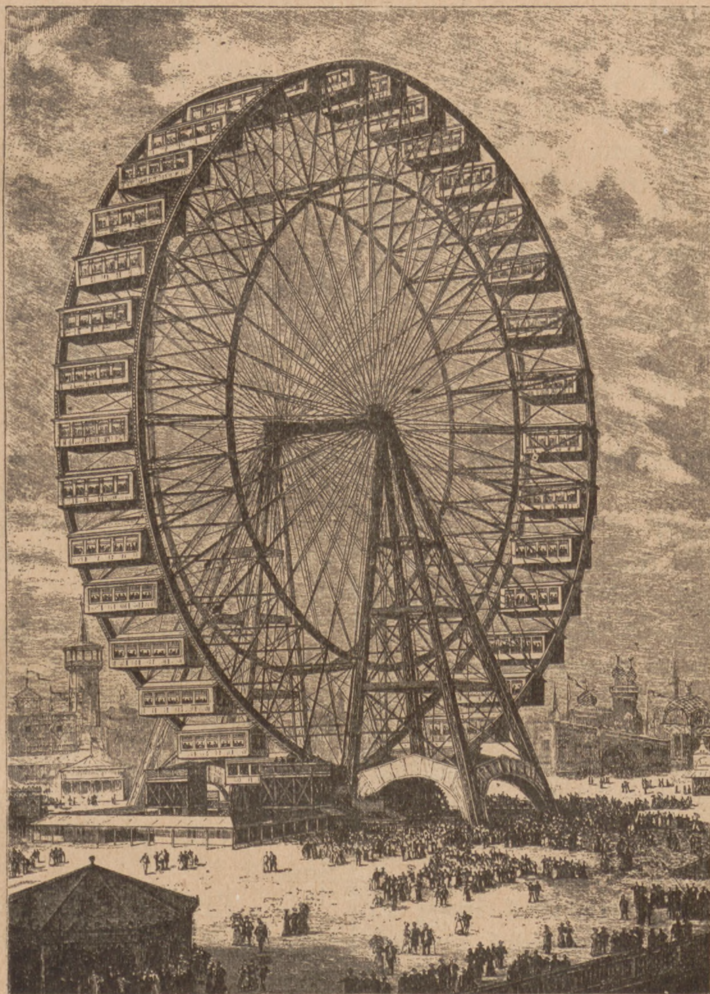
— Jeszcze nie powróciła — odpowie siwa niewiasta, która przechadzając się, miała dozór wielkiej cieplarni Śmierci. Jakżeś się tu dostała i za czyją pomocą?

— Bóg dopomógł mi — rzekła matka. — Wszak on litościwy! A i wy ulitujecie się nademną. Gdzież znajdę dziecię moje?

— Nie znam go — rzekła staruszka; — a ty widzieć nie możesz! Wiele kwiatów i drzew uwiędło tej nocy; Śmierć niebawem przybędzie, aby je poprzesadzać. Wiesz przecież, że każdy

człowiek ma drzewo lub kwiat życia swojego. Podobne one do innych roślin, tylko biją w nich serca. Serca dziecięce także biją. Uważaj na to; może poznasz bicie serca twojego dziecięcia. Ale co mi dasz, abym ci powiedziała, co jeszcze masz uczynić? przecież jakie piękne; bardzo mi się podobają. Dam ci w zamian swoje białe; i one także coś warte.

— Czy już niczego więcej nie żądasz? — zapytała matka. — Włosy moje dam ci z ochotą! — I oddała włosy swe krucze, a wzięła jak śnieg



KARUZEL NA WYSTAWIE W CHICAGO.

— Nie mam już nic do rozdania — rzekła strapiona matka. — Chyba pójdę za ciebie choćby na koniec świata.

— Nie mam tam nic do załatwienia — rzekła dozorczyni. — Ale możesz mi dać swe długie czarne włosy a wiesz białe włosy staruszki.

Poczem poszły obie do wielkiej cieplarni Śmierci, gdzie pomięszane dziwnie, rosły kwiaty i drzewa. Tu pod przykrywami szklanemi stały hyacynty i wielkie na kształt drzew róże; tam

rosły rośliny wodne, jedne całkiem świeże, drugie na wpół zwiędłe; węże wodne wiły się po nich, a czarne raki łodygi się czepiały. Owdzie wznosiły się wspaniałe palmy, dęby, platany, a w pobliżu były jarzyny i tymiany kwitnące. Wszystkie drzewa i kwiaty miały swe nazwisko; każde było życiem ludzkiem; ludzie ci żyli jeszcze, ten w Chinach, tamten w Grenlandyi, inni gdzieindziej, rozproszeni po całej kuli ziemskiej. Były tam wielkie drzewa w małych wazonach; widocznie zbyt ciasno im było w tych więzieniach; toż zdawało się, że je wnet rozsadzą; a były też niektóre małe, nikłe kwiatki w pulchnej ziemi, wokoło mchem obłożone, znać je troskliwie hodowano i pielęgnowano. Stroskana matka nachylała się nad wszystkimi najmniejszymi kwiatkami; w każdym bicie serca słyszała i wśród milionów kwiatów poznała serce swego dziecięcia.

— Mam je, mam dziecię moje drogie! — zawołała, wyciągając rękę nad małym kwiateczkiem schorzałym i pochylonym.

— Nie dotykaj się kwiatka; — rzekła dozorczyni. — Ale stań tu na boku, a gdy Śmierć przybędzie — co chwila jej się spodziewam — nie daj go wyrwać, lecz zagroź, że wszystkie jej powyrywasz. Zlęknie się tego; bo odpowiada za to przed Panem Bogiem, bez którego woli żadnej rośliny wyrywać nie można.

Wtem naraz zaszumiał po cieplarni wiatr jak lód zimny; matka wzroku pozbawiona uczuła przybycie Śmierci.

— Jakim cudem znalazłaś drogę do tego przybytku i jak mogłaś prędzej odemnie tu zdążyć? — rzecze Śmierć.

— Jestem m a t k a! — odpowiedziała zapytana.

Śmierć wyciągnęła długą swą rękę za małym nikłym kwiatkiem; ale matka przykryła go rękoma i zasłoniła przezornie, aby żadnego nie dotknąć listeczka. Wtem Śmierć zionęła swym oddechem na jej ręce, biedna matka uczuła zimno dotkliwsze od najchłodniejszego wiatru; ręce jej omdlały i opadły.

— Mnie nie podołasz! — rzekła Śmierć.

— Ale Pan Bóg miłosierny uczynić to może! — odparła matka.

— Pełnię tylko jego wolę — powie Śmierć. — Jestem jego ogrodniczką. Kwiaty i drzewa, które On sadzi, zabieram i przesadzam do wielkiego ogrodu rajskiego, w krainę wcale nieznaną. Co się tam z nimi dzieje i jak tam wygląda, tego mi nie wolno tobie powiedzieć.

— Oddaj mi dziecię! — rzewnie płacząc, błagała matka. A chwyciwszy za dwa piękne kwiatki, zawołała:

— Wyrwę ci wszystkie twoje kwiaty! Czy znasz rozpacz matki?

— Nie ruszaj ich! — rzekła Śmierć. Narzekasz na swe nieszczęście, a właśnie w tej chwili chciałaś uczynić równie nieszczęśliwą drugą matkę!

— Drugą matkę! — powtórzyła nieszczęśliwa i oba kwiaty z rąk puściła.

— Masz oczy twoje! — rzekła Śmierć. — Wydobyłam je z jeziora; świeciły tam jasno, jak drogie kamienie; nie wiedziałam, że to twoje. Weź je; teraz jeszcze jaśniejsze niż przedtem. Popatrz tuż obok w studnię. Powiem ci nazwiska obudwu kwiatków, które wyrwać zamierzałaś, obaczysz, coś chciała zniszczyć i zgubić.

Matka spojrzała w studnię. Rozkoszą było widzieć, jak jeden z kwiatków stał się błogosławieństwem dla świata; ile radości i szczęścia roztaczał wokoło. Widziała i życie kwiatka drugiego; było to pasmo trosk, biedy, niedoli i nędzy.

— Taka jest wola Boża! — rzekła Śmierć.

— Któryż z tych kwiatów jest kwiatem nieszczęścia, który błogosławieństwa? zapytała matka.

— Tego nie powiem, — rzekła Śmierć — ale dowiedz się, że jeden z nich jest twego dziecka kwiatem. Widziałaś dolę, przyszłość własnego dziecka!

Głośny krzyk przestrachu wyrwał się z piersi matki:

— Który jest kwiatkiem mego dziecięcia? Powiedz mi! Uwolnij niewinne dziecię! Wybaw je od wszelkiej nędzy! Zabierz je raczej! Zanieś do królestwa Bożego! Zapomnij łez moich, zapomnij próśb i wszystkiego, com uczyniła!

— Nie rozumiem cię! — rzekła Śmierć. — Czy chcesz, abym ci oddała dziecię, czy mam je zanieść w krainę ci nieznaną?

Matka załamała ręce i padłszy na kolana, gorąco się modliła:

— Nie słuchaj mnie, Panie, gdy prośba ma sprzeciwia się Twej woli, która zawsze jest lepsza! Nie słuchaj mnie! Nie przychylaj się do prośby mojej!

Głowa spadła jej na piersi, a Śmierć odeszła z dzieckiem w krainę nieznaną.

ISKRY IGNACYAŃSKIE.

Z łacińskiego przełożył na polskie ks. K. D., kapłan dyecezyi wrocławskiej.

Wszystko na większą chwałę Boga.

1. *Te i tym podobne słowa powtarza św. ojciec Ignacy w swoich konstytucyach trzysta siedmdziesiąt sześć razy.* Suar. de rel.

Powodzenie w nowym roku i w całem życiu naszem polega na tem, abyśmy każdej chwili naszego czasu i każdej naszej czynności użyli jedynie i wyłącznie na chwałę Boga. Tego żąda Bóg od nas prawem swojej najwyższej władzy; tośmy mu winni jako jego poddani.

Kto swojej własnej, nie Bożej chwały szuka, ten jest złodziejem i grabieżcą; albowiem Bogu samemu należy się chwała, a nam wstyd i wyrzuty. Chwała boska powinna być dla nas bodźcem i hasłem obowiązku.

Nikt nie wyrządza sobie większej szkody jak ten, kto więcej dba o swoję, aniżeli o chwałę Bożą; taki bowiem traci razem chwałę doczesną i wieczną i jest zawsze nędznym: nędznym tu, bo pozbawiony prawdziwej, nędznym tam, bo pozbawiony wszelkiej chwały.

Kiedyś, ale niestety za późno, będą tacy musieli wyznać, mówiąc: Całą noc pracowaliśmy, a niceśmy nie ułowili. Owo nic — to chwała ludzka; jak kwiat polny podnosi wysoko głowę, ale wnet zostaje zdeptaną; jak para idzie do góry i niknie. Jeźli chwałę cenisz, to szukaj prawdziwej.

2. *To niechaj będzie pierwszą zasadą wszelkiej czynności: ufaj w Bogu tak, jak gdyby skutek całkiem od ciebie, a nie od Boga zawisł; tak zaś przykładaj się do dzieła, jak gdybyś sam nie mógł nic, a Bóg wszystko zrobił.* S. Ignat. ap. Nolar.

Słabowita nadzieja stoi na kruchych nogach, gdy jej silnych rąk nie dostaje. Ten, który cię bez twego udziału stworzył, nimeś jeszcze był, nie zbawi cię ani ci nie pomoże bez twego udziału.

Podaj ty jeno iskrę, Bóg wznieci ją w płomień; rzuć ty jeno nasienie, a On da mu wzrost. Tak będzie wszystko wedle życzenia rosło, inaczej pozostanie płonnem.

Ty choćbyś chciał, nie możesz nic bez Boga; Bóg nie chce nic, choćby mógł, bez ciebie. Połącz się z Bogiem, a będziesz mógł wszystko zrobić.

Łaska boska, która tak wielkie rzeczy w innych zdziałała, nie okaże się w tobie bezsilną, byleś mocną ufność w Bogu pokładał. Gdzież twoja nadzieja?

3. *Daremnie pracuje i męczy się, kto zabierając się do naprawy obyczajów drugich, nie zaczyna od siebie.* S. Ignat. ap. Bartol.

Co za sprzeczność! Drugich chcielibyśmy widzieć dobrymi, jakimi sami nie jesteśmy; zaprawdę, własnemi ustami wydajemy na siebie wyrok potępienia, gdy dobrze czynić rozkazujemy, a sami źle robimy.

Tylko żywe prawo bywa skutecznem, to jest takie, jakie prawodawca własnym czynem ogłasza. Silniejszym bowiem głosem przemawia czyn, aniżeli usta. Tamten ma za sobą tylu mówców ku przekonaniu, ile pojedyńczych uczynków: ten zaś pozostając sam bez czynu, nie ma wpływu.

Jaki tam pożytek, gdzie równocześnie budujemy i zrywamy: tam słowem, tu czynem? Kto chce chorych leczyć, nie powinien sam chorobom podlegać. Wprzód radź o sobie, potem o drugich.

O nędzni śmiertelnicy! U siebie kretami, na zewnątrz rysiami. Chyba nie postrzegamy, co nam za plecami z torby wygląda. Straciliśmy wszelkie czucie i nie widzimy tramu w własnem oku, szukając skwapliwie źdźbła w cudzem. Lekarzu, ulecz sam siebie!

4. *Zmiana okolicy nie zmienia obyczajów; jeżeli niedoskonały nie zmieni sam siebie, nie okaże się nigdzie lepszym jak tam, gdzie był.* S. Ignat. ap. Bartol.

Nie widziałem jeszcze nikogo, któryby lepszym z podróży powrócił. Podróżowanie daje poznać wiele nowych rzeczy, ale przynosi mało pożytku. Kto źle działa, nie zgotuje sobie dobrego przytuliska; bo gdzieby się mienił być bezpiecznym, tam znajdzie w sobie samym wroga, którego się bać musi.

Choroba ciała bywa przez zmianę klimatu rzadko uleczoną, choroba ducha nigdy. Jeżeli złe w własnem łonie chowasz, to go się wyprzej albo wypędź na wygnanie i co cię męczy, to nie jest wadliwością miejsca, ale twoją własną.

A zatem nie owo, ale siebie samego powinieneś zmienić, chcąc wyzdrowieć.

Powinieneś taką drogę obrać, którąby albo dyabeł za tobą pójść nie mógł, albo po którejby twoja namiętność nie zdążyła; tej drogi zaś daremnie szukać będziesz, dopóki się od grzechu ku cnocie nie zwrócisz. Ta jest jedynem lekarstwem na twoję chorobę.

Miejscowość jeszcze nikogo świętym nie zrobiła. Nie kto w Jerozolimie był, ale kto w Jerozolimie cnotliwie żył, jest pochwały godzien. Jest to pewnym znakiem płochego ducha i nie chcącego zwyciężyć siebie samego, jeżeli się ktoś z miejsca na miejsce przenosić lubi.

5. *Jest to niemądrze cnocie młodzieńców niebezpieczne sprawy powierzać.* S. Ignat. ap. Bart.

Młoda cnota jest podobną do kwiecia drzew, które w pierwsze ciepłe dni wiosny szybko wystrzela, ale jest tak delikatnem, że przy dotknięciu niemal lub za lada powiewem wiatru marnieje. Wątłe barki słabną prędko pod znacznym ciężarem i dowodzą przez sromotny upadek nierozsądności przedsięwzięcia. Gorąca krew czyni odważnym; ale jeżeli roztropność nie kieruje odwagą, zamienia się takowa na zuchwalstwo.

Niewczesna gorliwość niszczy siły; ztąd pochodzi, że osiełek męczy się przed czasem i nawraca nakoniec ku stajni, a mógł był jeszcze długo służyć, gdyby go się było z miarą używało. Tak ginie pierwotna nadzieja już w samym zawiązku.

Niestałość i zmienność są przyrodzonemi wadami człowieka, ale młodzieży właściwe. Gdy ta jaką rzecz pokocha, pragnie jej gorąco, ale nie długo.

Spiesz się z namysłem; rzadko idzie pochopność z wytrwałością ręka w rękę. Łatwo błądzi, kto się za nadto spieszy. Kto ma daleką drogę przed sobą, niech na początku z umiarkowaniem kroczy, aby aż do końca wytrzymał.

6. *Jeden znakomity i rzadki czyn przeważa daleko tysiąc powszednich.* S. Ignat. ap. Bart.

Jak zwyczajne przedmioty, które nam się wszędzie i zawsze pod rękę nawijają, ani do ich posiadania nie nęcą ani ich posiadanie wielkiej pociechy nie sprawia, tak też powszednie uczynki pomnażają tylko liczbę, ale nie wartość.

Wysoko umieściła cnota koronę. Daremnie wzdycha do niej leniwy; tylko kto się pracą i trudem nie zraża, zdobywa ją sobie. Dla mężnego ducha nie ma za nadto stromej drogi.

Bóg waży czyny, nie liczy ich; on rozpatruje treść rzeczy, a nie ich mnogość. Patrz tedy na to, co mu ofiarujesz i pamiętaj, że tylko co rzadkie, wybrane i najzacniejsze, jest godne, aby się ofiarowało twemu i wszech rzeczy Panu.

Nie wymawiaj się ani swoją mizernością ani ubóstwem: łaska boska jest tak obfita, że za jej pomocą możesz cudów dokazywać, byle się z nią połączyły praca i gorliwość.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: **Adam Napieralski** w Bytomiu.